

ROZDZIAŁ IV

Sicz Zaporoska

Orszak Luny powoli przemierzał step. Morze traw ciągnęło się po horyzont i gdzieś tam tylko dało się dostrzec jakieś wzgórze, laszek czy też niewielką osadę. W końcu jednak zmęczonym podróżnym ukazał się upragniony widok. Szeroka, niebieska linia Dniepru przecinała Dzikie Pola. Rzeka w pewnym momencie rozdzielała się na dwie odnogi, które chwilę później z powrotem łączyły się ze sobą, tworząc tym samym niewielką wyspę. Tam właśnie mieściła się słynna Sicz, będąca główną siedzibą Zaporozców.

Kawalkada powoli zbliżyła się do drewnianego mostu, łączącego wyspę ze stałym lądem, po czym przejechała przez bramę. Otoczone przez żołnierzy Dark Sworda karoce zatrzymały się na głównym placu, wypełnionym teraz wiwatującymi Kozakami, po czym z jednej z nich wysiadła księżniczka Luna. Natychmiast zbliżyli się do niej przedstawiciele starszyny kozackiej. Idący na czele mężczyzna uklonił się nisko, po czym uśmiechnął się. Natychmiast podbiegło do niego dwóch pomocników, od których przyjął tacę z chlebem i solą.

– Witamy waszą wysokość w naszych skromnych progach! Nazywam się Jakub Ostrzanin i jestem...

– Koszowy przyszedł króla przywitać! – krzyknęli na jego widok Giedajłowowie, zsiadając przy tym z koni.

– O, i wy tutaj? Dobrze was, mołojcy, widzieć. Wracając do tematu. To jest mój zastępca, pułkownik białocerkiewski...

– Jakiw Kłysza! – Giedajłowowie znowu odezwali się niepytani. Koszowy popatrzył na nich jak na lisa, który zjadł mu kurę, i wrócił do przedstawiania kolejnych członków starszyny. Tym razem bracia nie mieli odwagi mu przerywać. Na końcu Ostrzanin zapoznał gości z mężczyzną, wyglądającym na szlachcica. Jego twarz miała w sobie coś władczego, coś jednocześnie łagodnego i dzikiego.

– I, jak to mawiają Angielczyki, *least but not last*, pisarz wojska naszego i świetny wojennik, Bohdan Zenobi...

– Chmielu! – nie wytrzymali Giedajłowowie. – Co tam, stary druhu, słyszać? Czaplińskiemu znowu trza dać w pysk?

– Na razie siedzi cicho, ale pewnikiem coś planuje, bo mu jak zwykle źle z oczu patrzy – wyjaśnił Chmielnicki.

– Niech planuje! Jak coś umyśli, to pamiętaj, Chmielu, że na nas trzech zawsze możesz liczyć! – zapewnił go Iwan, po czym spojrzał na kozowego. Jego mina sprawiła, że najmłodszy z braci uciszył się na dobre.

– Tak więc – ciągnął Ostrzanin – mam zaszczyt powitać waszą wysokość w naszym obozie. Przepraszamy za ten bałagan, ale...

– Nic się nie stało, panie atamanie – zapewniła go Luna. – Giedajłowowie mówili o was dużo dobrego. Cieszymy się z siostrą, że naszych granic z Chanatem strzegą tacy odważni żołnierze. – Słowa klaczy sprawiły, że zebrani wokół Kozacy zaczęli wiwatować. Kiedy skończyli, księżniczka i kucyki z jej orszaku zostali zaprowadzeni do dość dużej chaty. Znaleźli tam suto zastawione stoły, za którymi siedziało już kilkunastu mężczyzn.

– A, byłbym zapomniał – rzekł na ich widok Ostrzanin. – Ci tutaj to poselstwo, jakie kilka dni temu przybyło od naszych bratków znad Donu. Znaczy, to są poddani wielkiego kniazia...

– Cara! – krzyknął jeden z posłów.

– Nieważne, grunt, że Michał Fiodorowicz rządzi w Moskwie. Chłopcy chcą jutro z samego rana ruszyć z powrotem, ale namówiliśmy ich, by wzięli udział w uczcie na twoją cześć.

Słyszając, że o nich mowa, członkowie delegacji powstali i ukłonili się, wnet jednak wrócili na swoje miejsca. Luna zauważyła, że jeden z nich przygląda się

jej ze szczególną uwagą. Ubrany jak Kozak, miał czarną czuprynę i bujne wąsy. Orli nos i rozdęte usta dopełniały jego wyglądu.

– Przepraszam, ale... kto to jest? – spytała przechodzącego obok Chmielnickiego, dyskretnie wskazując mu odpowiednią osobę.

– Tamten? To Josif Bohajewski, szlachcic rosyjski i podpułkownik Kozaków Dońskich. Żywią do niego duży szacunek. Mówią, że gdyby chciał zdobywać piekło, to cała Kozaczyna Dońska poszłaby za nim. Odważny to człowiek, ale i niespokojny, co raz sobie umyśli, to robi, choćby to było nie wiadomo co.

Luna chciała poprosić go o więcej szczegółów, jednak przerwał jej głośny okrzyk Ostrzanina.

– A teraz niech zacznie się zabawa! Zdrowie króla!

Biesiada na Zaporozu rozkręciła się dosyć szybko. Nawet zazwyczaj poważne pegazy z Gwardii Nocy włączyły się do zabawy, podrywając dworki Luny i pijąc z Kozakami. Beczki alkoholu były opróżniane tak szybko, że mołojcy nie nadążali z donoszeniem kolejnych. Jedynie goście znanu Donu wykazywali niespotykaną u Słowian abstynencję; wzniesli jedynie kilka toastów na cześć króla Polski, gospodarzy i za wieczną przyjaźń dońsko-zaporoską, po czym udali się na spoczynek. Przy stole został jedynie Bohajewski, zerkający co chwila w stronę wolnego od stołów miejsca, przeznaczonego na tańce, gdzie właśnie tańczyła Luna. Nagle ktoś głośno uderzył kubkami o stół i obok niego usiedli Giedajłowowie.

– No co tam, semen? – spytał go jeden z braci. – Nic nie pijesz, nie jesz... Twoich kumotrów możemy zrozumieć, zmęczeni byli i poszli spać, ale ty?

– Ktoś czuwać musi, panowie mołojcy – odparł podpułkownik, po czym raz jeszcze zerknął w stronę alicorna i westchnął cicho.

– Ooo, patrzajta no, *bratia atamany*, ktoś tu robi maślane oczka! – rzekł

Iwan, kiedy zorientował się, na kogo spogląda jego rozmówca. – Bohajewski, ja ci mówię, ty się od waćpanny odpierdol.

– A to czemu? Że niby ktoś taki jak ja nie może pomarzyć?

– Normalnie nikt by ci tego nie zabronił, ale Zemborzycki mówił nam, że ona już zajęta przez Rzędowieckiego, chyba nawet z wzajemnością. A znasz ostatnie przykazanie? Nie pożądaj żony bliźniego swego?

– Jakie ostatnie, przecież to jest dziewiąte, czyli przedostatnie – zauważył Bohajewski.

– Czekaj... to ich jest DZIESIĘĆ? – Oczy trzech braci zrobiły się wielkie niczym talerze. – Nie osiem?

– Nie, brakuje wam jeszcze dwóch. Może nie kradnij i nie pożądaj żadnej rzeczy bliźniego swego?

– Kpisz sobie z nas, nie ma takich przykazań. Chodźcie, *bratia atamany*, do kosзовego, on nam z pewnością powie, że ich jest osiem – rzekł Władimir, po czym Giedajłowowie zostawili swojego rozmówcę samego. Rosjanin wykorzystał ten moment, by raz jeszcze zerknąć na władczynię księżyca.

Patrzył, jak jej długa, gwieździsta grzywa pod wpływem energicznego ruchu obraca się wokół głowy, zakrywając całkowicie jej twarz. Klacz odgarnęła niesforne włosy kopytem. Najpierw odsłoniła usta, które Bohajewskiemu zdawały się być wręcz stworzone do całowania. Potem zza grzywy wyłoniły się oczy głębokie niczym studnie, oczy, w których dostrzegł światło najpiękniejszych gwiazd.

Nagle Bohajewskiego ogarnęła chęć, by dołączyć do Luny w tańcu. Wtulić się w jej grzywę, być przy niej dniem i nocą. Strzec jej przed zazdrośnymi spojrzeniami innych. Wówczas przypomniał sobie słowa Giedajłowów. *Jak to, pomyślał, jakiś Laszek chce mieć tego anioła, a ja nie mogę?* Wielki gniew i żal ogarnęły Rosjanina. Ze złości wyjął nóż i wbił go w stół. *Gdyby był jakiś sposób...*

Wtedy przypomniał sobie, że ktoś niedawno ofiarowywał mu pomoc w sprawach miłosnych. Wtedy odrzucił tę ofertę, jednak teraz sytuacja zmieniła się.

Podpułkownik wstał i skierował się w stronę stajni. Wziął swojego konia i wyjechał w step, korzystając z faktu, że strażnicy też brali udział w biesiadzie i byli niedysponowani.

Przez jakieś półtorej godziny jechał przez Dzikie Pola. Wokół panowała ciemność, jednak dzięki jasno świejącemu księżycowi dało się cokolwiek dostrzec. W końcu Bohajewski zauważył przed sobą jasne światło ogniska, przy którym siedział okryty płaszczem jednorożec. Rosjanin podjechał bliżej.

– Witaj – powiedział kuc. – Czekałem na ciebie.

– Dobra, dobra, Pathchanger. Skąd wiedziałeś, że będę cię potrzebował?
– spytał człowiek, zsiadając z konia.

– Mówiłem ci już, że ja to po prostu wiem. Twoje przeznaczenie jest silnie związane z przeznaczeniem Luny.

– I ty chcesz mi tak po prostu pomóc? Poza tym, ona ma już innego.

– Bez obaw, jeśli zrobisz to, co ci powiem, to cię pokocha. A jeśli nie, to przygotuję odpowiedni eliksir. Będiesz miał swoją Lunę – powiedział Pathchanger, po czym podał człowiekowi niewielką fiolkę z płynem i niewielki worek, w którym znajdowały się jakieś metalowe przedmioty. Przez kilka następnych minut tłumaczył mu plan. Kiedy skończył, zadał pytanie. – Kiedy ci się uda, ukryjesz ją. Masz odpowiednią kryjówkę?

– Oczywiście.

– Więc ją tam ukryjesz. Powodzenia – dodał, widząc, że Bohajewski siada z powrotem na konia i odjeżdża w step. Kuc przez chwilę patrzył w dal, po czym uśmiechnął się i zniknął.

Biesiada na Zaporozu rozkręcała się. Gdzieś tam dało się zobaczyć, jak ktoś, kto nie wytrzymał narzuconego przez współbiesiadników tempa, leży w błocie. Z głównego budynku dało się słyszeć głośnie przyśpiewkę. Jakiś kwadrans wcześniej ktoś zaproponował zorganizowanie konkursu pieśni biesiadnej. Pomysł spodobał się wszystkim. Nie trzeba było być ekspertem, by wiedzieć, że prowadzi Luna. Wzmocniona kilkoma butelkami bimbru klacz śpiewała – a raczej próbowała śpiewać – korzystając z Królewskiego Głosu Canterlotu. Kroku dotrzymywał jej chór kilkuset Kozaków, którzy postanowili połączyć swe siły, by bronić honoru Zaporozia. Nic więc dziwnego, że budynek chwiał się niczym galareta.

W końcu śpiewana przez wszystkich dumka skończyła się. Moment ten wykorzystał Bohajewski. Pewnym krokiem podszedł do Luny, po czym podał jej kielich wina.

– Wasza wysokość się ze mną napije? – spytał. Klacz przyjęła naczynie i wypila do dna. Kiedy oderwała się wreszcie od kielicha, uśmiechnęła się do Rosjanina.

– DZIĘGUJĘ BARDZO! – odparła, po czym czknęła uroczo. Nagle odwróciła głowę, by krzyknąć do jednego z gwardzistów. – HEJ, DARK SWORD! ZE MNĄ SIĘ NIE NAPJESZ?

Zadowolony z siebie Bohajewski oddalił się, by w spokoju czekać do rana.

Bałyk

Po długich zmaganiach z pogodą polska eskadra wypłynęła na spokojne morze. Straty poniesione w czasie walki ze sztormem były poważne. Brakowało jednego okrętu, zaś pozostałe dwa były poważnie uszkodzone, wszystko jednak wskazywało na to, że fortel się udał i wróg udał się na południe. Chcąc uniknąć opóźnień, flotylla skierowała się w kierunku Szwecji.

Do wybrzeży Półwyspu Skandynawskiego dopłynęli wczesnym rankiem. Przez kilka godzin płynęli wzdłuż wybrzeża, nawigowani przez Lorux. Kiedy już niemal dotarli do celu, z bocianiego gniazda dało się usłyszeć krzyk.

– Cztery statki od wschodu, zaraz nas dopadną!

– Niedobrze! Co zrobimy? Zdamy im uciec? – Twilight spojrzała na Suchowolskiego. Ten przecząco pokręcił głową.

– Nie mamy wyboru. Pegazy muszą przenieść was na stały ląd. My spróbujemy kupić wam trochę czasu.

– To niedorzeczne! Zginiecie! – krzyknął jednorożec.

– Poza tym my nie zostawiamy swoich na pastwę losu! – zawtórowała jej Rainbow Dash.

– Jeśli zostanieie tutaj, zginiecie – zauważył człowiek. – Zawsze mogę dać wam niewielką eskortę, ale pamiętajcie, że im więcej osób pójdzie z wami, tym łatwiej wykryją was gryfie patrole.

– Ten człowiek ma rację – powiedział dowodzący lotnikami pegaz. – Jeśli chcecie wykonać swoją misję, musicie uciekać.

– Ale my...

– Oni mają rację, Rainbow – stwierdziła smutnym głosem Twilight. – Musimy ich zostawić. Kapitanie, był pan dobrym człowiekiem.

– Tak, tak, bo się wzruszę. Pegazy przeniosą teraz was i kilku marynarzy na ląd. Szybko, na Boga!

Niecały kwadrans później equestriańscy lotnicy wystartowali, z trudem dźwigając kilku ludzi i kucyków oraz niezbędne zapasy. Widząc działania Polaków, Szwedzi ruszyli do ataku, jednak drogę zagroziły im okręty Suchowolskiego.

Chwilę później pegazy usadziły swoich pasażerów na szwedzkiej ziemi. Twilight przez chwilę przyglądała się bitwie morskiej. Chociaż nie знаła się na statkach, to wiedziała, że marynarze Rzeczypospolitej nie mają szans w starciu ze szwedzkimi galeonami.

– Skoro już jesteśmy bezpieczni, na suchym lądzie, to czy możemy ruszyć w drogę? Im już i tak nie pomożemy, więc nie pozwólmy chociaż, by ich poświęcenie poszło na marne – Rainbow przerwała panującą ciszę, zagłuszaną jedynie przez wystrzały armatnie z walczących okrętów, po czym poprawiła swoje juki, w których spoczywało Kryształowe Serce.

– Tak... chyba masz rację – odparła po chwili fioletowa klacz. – Lorux, prowadź. Ja w międzyczasie opracuję plan przejścia przez Imperium Gryfów.

Twilight jeszcze przez chwilę patrzyła na toczącą się bitwę morską, w końcu jednak odwróciła się i poprowadziła swoją grupę w głąb lądu. Bałtyk szybko zniknął jej z oczu, więc nie mogła widzieć, jak okręty Suchowolskiego przegrywają walkę. Po chwili okolicą wstrząsnął donośny huk. To eksplodowały zgromadzone na statku flagowym polskiej flotylli zapasy prochu, kończąc żywot bohaterskiego kapitana polskiej marynarki wojennej i wielu jego podwładnych.

Sicz Zaporoska

Pierwszą rzeczą, jaka dotarła do świadomości Dark Sworda, było pianie koguta. Mimo bólu głowy wydedukował, że skoro słyszy tego ptaka, to musi być ranek. Przez pięć minut leżał, próbując przypomnieć sobie wydarzenia z ostatniej nocy. Niestety, nieskutecznie. W końcu otworzył oczy.

Kiedy już jego wzrok przyzwyczaił się do światła, Dark Sword zorientował się, że leży na sianie w jakiejś stodole. Nagle usłyszał, jak obok niego ktoś się porusza. Obejrzał się w tamtą stronę. Zobaczył śpiącą obok klacz kucyka ziemnego, jedną z dworek Luny. Kapitan Gwardii Nocy uśmiechnął się do siebie, po czym cicho skierował się do wyjścia. Nim doszedł do wrót, dogonił go jeden z

jego podwładnych.

– Witam, mości kapralu Star Spear – przywitał go słabym głosem. – Jak się spało?

– Dobrze, panie kapitanie, tylko nie wiem, dlaczego obudziłem się obok ludzkiej kobiety.

– Cóż, chyba za dużo waszmość wypił. Pamiętasz waść, co wczoraj poczyniałem?

– Cóż, mam kłopoty z przypomnieniem sobie tego, co ja robiłem, więc...

Nagły krzyk jednego z gwardzistów, dobiegający z wnętrza stodoły, przerwał ich rozmowę. Niecałą sekundę później zza kupy siana wybiegł przerażony pegaz.

– Szeregowy, co się stało? Tatar na nas armie toczy? – spytał go dowódca.

– Nie, skąd, panie kapitanie, po prostu... nie chcę o tym mówić – rzekł szeregowiec, rozglądając się nerwowo. Dark Sword ze zdziwieniem zauważył, że zza stogu, zza którego wcześniej wypadł pegaz, wyszedł równie zaskoczony, półnagi Kozak. Kapitan wymienił spojrzenia ze Star Spearem.

– Nic tu się nie działo – zawyrokowali jednocześnie, po czym odwrócili się i wyszli z budynku. To był błąd. Okrutne promienie słońca zaczęły atakować ich obolałe oczy.

– Taa. Jaki plan? – kapral spytał swojego dowódcę.

– Musimy znaleźć Jej Wysokość oraz jakoweś lekarstwo na ten diabelny ból głowy. Na szczęście wiem, gdzie Zaporozcy mają spiżarnię. Za mną.

– Do spiżarni? Po co? Najpierw powinniśmy wypełnić nasze obowiązki służbowe i zameldować się u...

– Waszmość chyba został kapralem dzięki wysoko postawionym familiantom, co? Widział ty wczoraj Lunę? Widział. Dużo wypła? Dużo, chyba nawet więcej niż ty. Co jej teraz dolega? Ból głowy. Jakie jest według niej najlepsze lekarstwo na tę dolegliwość? Ogórki. Gdzie są ogórki?

– Już rozumiem, panie kapitanie. Proszę prowadzić.

Po chwili oba pegazy doszły do spiżarni, jednak nie zastały tam Luny. Po nieznacznym uszczupleniu zapasów gwardziści udali się do chaty, gdzie miały mieścić się kwatery księżniczki, jednak i tam jej nie było. Po odwiedzeniu jeszcze kilku miejsc lekko zaniepokojone kuce udały się do domu atamana koszowego. Ten natychmiast zaczął ich uspokajać, jednak dla świętego spokoju zarządził przeszukanie całej wyspy. Trzydzieści minut i cztery słoiki ogórków później jasnym się stało, że Luny nie ma w obozie. W celu rozwiązania zagadki zniknięcia króla, Ostrzanin zwołał kryzysowe posiedzenie starszyny, na które zaproszeni zostali również przedstawiciele świty księżniczki.

– No dobra, mołojcy, wiemy, że tutaj króla nie ma – stwierdził koszowy. – Ktoś ma jakiś pomysł?

– Ej, a nasi dońscy kumotrzy gdzie? – spytał któryś z Giedajłowów.

– Wyjechali rano, jak wszyscy spali. Widziało ich kilku strażników. A co?

Słyszając taką odpowiedź, trzech bracia zasmucili się.

– Trzeba ich szukać. Wczoraj śmy z *braty atamany* widzieli, jak Bohajewski gapi się na waćpannę tymi swoimi kaprawymi oczkami jak lichwiarz na dwa grosze – wyjaśnił jeden z bliźniaków.

– Jesteście pewni? Myślicie, że Dońcy mogli zrobić coś takiego?

– Zwykli Dońcy może nie, ale Bohajewski jest Moskałem, a na biesiadzie nic nie pił, więc jest podejrzany. Poza tym ten kiep chyba się w niej zadurzył.

Słyszając taką odpowiedź, Ostrzanin zaklął szpetnie.

– Więc tak. Wyślijcie mołojców na koniach i pegazy Gwardii na poszukiwania. Chmielnicki, przekaż wszystkim, co następuje! Beczka wódki dla tego, kto przyprowadzi króla i Bohajewskiego. Ją całą i zdrową, jego niekoniecznie!

Patrole Zaporozców rozproszyły się po całej okolicy. Kozacy zaglądali pod każdy kamień, odwiedzali każdą napotkaną chatę, wszędzie wypytując o posłów znad Donu. Nieliczne zdatne do lotu pegazy wspomagały ludzi z powietrza. W końcu jedna z grup poszukiwawczych, dowodzona przez znanych skądinąd braci, odnalazła poszukiwanych Kozaków.

Giedajłowowie popatrzyli przed siebie. Zaporozców oddzielał od Dońców niewielki dystans.

Niestety, większą część tego dystansu stanowiła głęboka rzeka, będąca jednym z dopływów Dniepru. Na domiar złego jedyny prom w okolicy znajdował się teraz po drugiej stronie rzeki.

– Że też nie ma pegazów, kiedy są potrzebne. Chłać to potrafią, ale zrobić coś pożytecznego to już niekoniecznie – skomentował Borys.

Bracia nie poddali się jednak tak łatwo. Zaczęli krzyczeć, chcąc przynajmniej wywieść się, czy Luna jest z uciekinierami.

– Hej, semeny! Czy waćpanna jest z wami? – wydarł się Iwan.

– Co? Krzyczcie wyraźniej!

– Waćpanna, barany! Czy! Jest! Z! Wami! – wykrzyczał, dorzucając przy tym znane w Polsce przekleństwo. Dońcy chyba go nie zrozumieli.

– O, a gdzie? Tania chociaż?

– Król! Czy jest z wami król!

– Jaki ciul? Mówiłeś przecież o...

– LUNA! Czy jest tam LUNA?

– A, Luna! Było tak od razu! Jest z nami, ino śpi, bo się troszku jakby zmęczyła!

– Świetnie! Wsadźcie ją na prom i przyplyńcie tutaj, to ją zabierzemy!

W odpowiedzi poddani cara odwołali się do dyplomacji w wersji kozackiej.

– A takiego! – Przywódca Dońców wykonał stosowny gest. – Jest rozkaz od Bohajewskiego: klaczy pilnować, wam nie dać!

– A on niby gdzie, a? – spytał Władimir.

– Nie wasza to rzecz!

– Aresztujemy was za zbrodnię przeciw koronie!

– To chodźcie i nas złapcie!

– Wy... – Przez następne kilka minut obie strony obrzucały się wszelakimi wyzwiskami. W końcu Giedajłowowie zauważyli jakieś poruszenie na drugim brzegu. Ujrzeni, jak do poselstwa podjeżdża Bohajewski w towarzystwie kilku jeźdźców. Jeden z jego podwładnych zaczął coś mu tłumaczyć, wskazując przy tym na drugi brzeg rzeki. W końcu podpułkownik spojrzał przelotnie na Zaporozców, po czym poprowadził całą grupę w siną dal.

Niezadowoleni z powodu niewykonanego zadania bracia powrócili na Sicz, by przekazać złe wieści Ostrzaninowi. Kiedy ten dowiedział się o tym, co się stało, zaklął szpetnie.

– Więc nie mamy wyboru. Bić w tarabany! Idziem odbić króla, nawet jeśli

oznacza to wojnę z Moskwą! Giedajłowowie, wy pojedziecie do Rzędowa, sądzę, że książę powinien wiedzieć, jaka jest sytuacja.

– A dlaczego my? I dlaczego do niego? Wścieknie się, jak mu powiemy o porwaniu!

– Wy, bo wy go znacie najlepiej – odparł koszowy.

– Poza tym nie musicie jechać do Rzędowieckiego, ale pamiętajcie, że wtedy będziecie musieli udać się do Jaremy... – dodał Chmielnicki.

– *Bratia atamany*, jedziem odwiedzić księcia wojewodę braclawskiego! – stwierdził szybko Borys, po czym wszyscy trzej wyszli z pomieszczenia.

Rzędów, siedziba rodu Rzędowieckich

Położone nad jednym z dopływów Bohu niewielkie miasto nie należało do brzydkich. Nie bez powodu całe pokolenia Rzędowieckich dbały, by ich główna siedziba prezentowała się należycie. Otoczony mocnymi fortyfikacjami Rzędów był, jak na warunki województwa braclawskiego, miastem stosunkowo bogatym, więc żaden z urzędujących tu książąt nie musiał wstydzić się przed innymi magnatami.

Najważniejszym miejscem w Rzędowie był z pewnością znajdujący się w obrębie miasta zamek książęcy. Chociaż ta dwukondygnacyjna budowla dawno już straciła swoje funkcje obronne, to wciąż mogła posłużyć za ostatni punkt oporu w razie oblężenia.

Nieopodal zamku znajdowała się niewielka, murowana karczma. Z nieznanych powodów tę właśnie oberżę upodobał sobie oficerowie wojsk nadwornych dwóch ostatnich właścicieli miasta. Nie przeszkadzała im zła reputacja, jaką w okolicy cieszył się tamtejszy karczmarz, jednak na wszelki wypadek unikali zamawiania u niego kaszanki.

Mimo późnej pory w karczmie siedziała właśnie grupka oficerów, wykorzystująca fakt, że ich chlebodawca wyjechał. Kilku ludzi i jeden pegaz pałaszowali właśnie kolację, popijając piwem.

– Ale nudy, proszę waszmościów. Roboty dla moich husarzów nie było od dawna – stwierdził jeden z nich.

– Ja tam nie narzekam.

– Ty się, Zientarski, nie odzywaj. I tak nic nie robisz, tylko siedzisz całymi dniami tutaj i chlejesz. Powinieneś już dostać... jak to się nazywało? – oficer zwrócił się do pegaza. Equestrianin był doświadczonym dowódcą, weteranem ostatniej wojny domowej. Pierwotnie zarządzał jednym z oddziałów z Vinepolis, jednak współpraca z ludźmi spodobała mu się na tyle, że postanowił zmienić pracodawcę.

– Karta stałego klienta, panie Dawidowski – odparł kuc.

– Dziękuję, mości Stormcloud. Wracając do meritum, to Zritz zawsze może ci dać poprowadzić musztrę Niemców, mości Zientarski.

– *Nein!* – krzyknął ubrany na zachodnią modłę mężczyzna. – Jeszcze mi żołdacy zaczną chlać nie wiadomo gdzie. Dać Zientarskiemu *der Infanterie*, to zaraz będą muszkiety trzymać tył na przód, *Donnerwetter*.

– E tam, z Wołochami sobie radzi, to sobie z piechotą nie da rady? – zauważył kolejny człowiek, pałaszujący właśnie pęk kielbasy.

– To daj mu swoich dragonów, mości Święciński, albo pancernych Poszewskiego.

– Zientarski zawsze może pośredniczyć między Fryterskim a Strezingiem – stwierdził Poszewski, jakby obawiając się, że rotmistrz jazdy wołoskiej może naprawdę przejąć dowodzenie nad jego ludźmi.

– Zgłupiałeś waść? – oburzył się Zientarski. – Ja się między tych dwóch

piromanów nie wciskam. Pamiętacie waszmościowie, co było, jak kłócili się o beczkę prochu?

– Fryterski i jego saperzy podkopali się do piwniczki Strezinga, wynieśli stamtąd wszystkie zapasy jadła i wysadzili je za miastem.

– A Strezing i jego artylerzyści ostrzelali z dział prom, na którym był Fryterski. Bogu dzięki, strzelali kulami zrobionymi ze starego sera, więc nikt nie zginął.

– Ja waszmościom mówię, oni się kiedyś pozabijają.

– Lepiej siebie niż nas.

– Mości panowie, my siedzimy przy tym samym stole – stwierdził Strezing. Jedzący obok bigos Fryterski gorliwie pokiwał głową.

– Oj, nie obrażajcie się waszmościowie. Naprawdę, potrzebujemy czegoś do roboty. Szkoda, że Zemborzycki pojechał z księciem wojewodą, więc nawet nie ma jak posłuchać nowych plotek o wojnie ze Szwedem.

– A niby skąd może on je znać?

– Z nim jest lepiej niż z Żydami. Jak Żyd w Gdańsku kichnie rano, to w Kijowie mu wieczorem mówią: *Na zdrowie!* Zemborzycki powiedziałby to w południe, ino u gdańskich Żydów ma jakieś długi, więc mówi: *A żebyś zdechł.*

– Inna rzecz, że połowa tych jego plotek została zmyślona przez jakiegoś kpa. Drugą połowę zmyślił sam. Wiecie, co mi powiedział ostatnio? – Święciński zaczął szeptać, jakby objaśniał im plan napadu na skarbiec katedry wawelskiej. – Powiedział, że nasz kumotr, Dark Sword, mięso je!

– Ale to prawda – stwierdził Zientarski. – Sam mu o tym opowiadałem. Było tak: siedzę sobie w domu przy kuchni i gotuję boczek. Wtedy wpada Swordzik, że niby tylko na chwilkę. Pogadaliśmy sobie troszku, po czym uznał, że musi lecieć. Podszedł do miski, gdzie ten ugotowany już boczek se leżał,

wziął i zjadł. Wiecie, co powiedział?

– Że nie wie, jak możecie to jeść? – spytał Stormcloud.

– Nie. Powiedział: *Dałbym więcej pieprzu*. I miał rację, bo faktycznie mało korzeni dałem.

– Zmyślasz waszmość! – stwierdził Dawidowski.

– Ja? Zmyślam? Chyba kpisz!

– Kto tu kpi? Szablą w dziób chcesz?

– Mości panowie, spokój, nie kłóćmy się – uspokoił ich Zemborzycki. Zebrani popatrzyli na niego, jakby był duchem.

– A waść tu skąd?

– Jakbyście się nie kłócili, to byście mnie zauważyli, jak wchodzę. O, bigos! Posuńcie się waszmościowie! – powiedział szlachcic, po czym wepchnął się między Zritza a Poszewskiego.

– Ale skąd się waszmość wziął w Rzędowie? Toż miałeś być z księciem wojewodą u Ossolińskich!

– Tak, wojna jest, a Rzędowiecki będzie stał z założonymi rękami, zamiast bronić waćpanny. Broniewski wrócił z Warszawy?

– Nie, mocium panie, pewnie myśli, że wciąż siedzicie u Ossolińskich.

– Szkoda, Rzędowiecki wciąż czeka na odpowiedź od waćpanny. A wy macie zacząć zbierać swoich ludzi, bo wkrótce wyruszamy na Szweda.

– No, nareszcie coś się dzieje! Już się bierzemy za robotę! – krzyknął Poszewski, wstając. Zemborzycki złapał go i usadził z powrotem na ławie.

– Jutro, mocium panie, jutro! Dzisiaj trzeba się napić.

Następnego dnia do Rzędowa przybył ksiądz Broniewski. Nie był zbytnio zadowolony. Jakiś czas temu Luna wysłała go z listami dla Rzędowieckiego. Duchowny spodziewał się zastać go u Ossolińskich, jednak wojewoda sandomierski powiedział mu, że ksiązę zdążył już wyjechać. Broniewski ruszył za nim, jednak po drodze dopadła go straszliwa burza, którą musiał przeczekać. W końcu Broniewski dotarł szczęśliwie do celu. Przez chwilę kręcił się po zamku, aż w końcu znalazł przyjaciela, siedzącego przed kominkiem w jednym z pokoi. Natychmiast uścisnęli sobie ręce.

– Michale Rzędowiecki, gdzieś waszmość mi uciekł? Miałeś być u Ossolińskich, żeby cię wyswatali!

– Znasz moją opinię o kobietach. Kocham tylko jedną. Albo ona, albo żadna!

– Dobra, dobra. Właśnie przywiozłem waści list od tej jedynej.

– Dawaj! – Przez chwilę ksiązę studiował pismo. Z początku uśmiechał się, jednak mina nieco mu zrzędła, kiedy doszedł do pewnej kluczowej informacji. – Dawno wyjechała na Sicz?

– Według moich obliczeń powinna tam jeszcze być. Jeśli wyruszymy teraz, zdążysz się z nią spotkać.

– Świetnie! Zmęczony po podróży? Idź, wypocznij. Dogonisz nas...

– O nie, to samo mówiłeś, jak mnie wysyłałeś do Warszawy. Właśnie, czemu żeś wrócił? Nawet nie ogłoszono zaciągów.

– Ale ojczyzna w niebezpieczeństwie.

– A z ojczyzną waćpanna?

– Jakbyś zgadł.

– Nie bój się, w Canterlot będzie bezpieczna. Poza tym co jej może grozić na Zaporozu?

– Nie wiem, ale wiesz, jak to jest. O poprzednim królu też mówili, że nic mu na Krymie nie grozi. I co?

– Tamto to było zrządzenie Boże. Chrystus chciał, byśmy mieli króla w dwóch osobach.

Nim Rzędowiecki zdążył cokolwiek odpowiedzieć, do pokoju wpadł Zientarski.

– Mości książę! – krzyknął, po czym stanął jak wryty na widok księdza. – A ten tu skąd?

– Już się nie cieszysz na widok swojego pasterza?

– Nie, skąd, po prostu... Zresztą, mniejsza. Chodzi o to, że Giedajłowowie przyjechali. Chcą się widzieć z tobą, mości książę.

– Oho, wiadomość od Luny – ucieszył się Michał. – Wpuść ich waść!

Zientarski uklonił się i wyszedł. Po chwili wrócił w towarzystwie trzech Kozaków.

– Siadajcie, waszmościowie! – powiedział książę. – Piwa? Miodu? Wódki?

– Tak, wódki poprosimy... – odparli niepewnie bracia. Na stole wylądowała flaszka i trzy kielichy.

– To co na Zaporozu słyhać?

– A, mości książę, jakby to tu powiedzieć... – Zaporozcy najwyraźniej nie

chcieli zdradzić jakieś tajemnicy.

– No, nie trzymajcie nas w niepewności! Borys, powiedz, co u Luny? – Rzędowiecki spojrział na siedzącego po prawej bliźniaka.

– Więc... – zaczął mówić ten po lewej. – Śmy ją doprowadzili na Sicz, tak, jak kazała, i tam kozowy na jej cześć urządził małą, ale taką maluteńką biesiadę... Iwan powie, co było dalej.

– I żeśmy ją z mołojcami i Kozakami znad Donu, co byli akurat z poselstwem, poczęstowali wódką. Rano wstajemy, a tu... dalej opowie Władimir.

– No więc rano okazało się, że jeden z Dońców, niejaki Bohajewski, psia jego mać, zakochał się w niej na zabój...

– Skąd my to znamy? – skomentował Broniewski, patrząc wymownie na Michała. Ten uciszył go gestem.

– No i? – książę ponaglił Kozaków do szybszej odpowiedzi. Bracia jednocześnie podnieśli kubki, wypili ich zawartość, po czym jak jeden mąż powiedzieli:

– Bohajewski uprowadził waćpannę! – i wybiegli z pokoju, nim do Rzędowieckiego dotarł sens ich słów.

Książę przez chwilę stał z szeroko otwartymi ustami. W końcu jego umysł przetrawił nową informację.

– Broniewski, olewamy Szwedów. Muszę rozliczyć się z pewnym Kozakiem – powiedział. Co, jak co, ale nikt nie będzie porywał mu ukochanej.

Sztokholm

Oxenstierna czytał właśnie niewesołe raporty od dowódców wojsk

atakujących Rzeczpospolitą, kiedy leżący na biurku amulet zaświecił się. Kanclerz dotknął wprawionego w przedmiot diamentu, przez co przed nim pojawiła się projekcja Golden Tongue.

– Rozmawiałam przed chwilą z Pathchangerem. Jego misja zakończyła się sukcesem. Jutro rozpocznie się wojna w Equestrii, wkrótce też zapłonie Ukraina. Arteris przesyła pozdrowienia i wyraża zgodę na oficjalne użycie korpusów posiłkowych w Rzeczypospolitej. Powodzenia – powiedziała, po czym zniknęła.

Szwed natychmiast odrzucił czytany raport, po czym zaczął manipulować przy amulecie. Po chwili ukazała się przed nim sylwetka marszałka Lennarta Torstenssona.

– Bierzcie swoją armię i gryfy. Pokażcie Polakom, jak wygląda prawdziwa szwedzka armia.